№ 32. Warszawa, dnia (31 Lipca) 12 Sierpnia 1899 roku. Rok XLI.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet



PRENUMERATA WYNOSI:
w Warszawie: kwartalnie . . rs. 1
Za odnoszenie do domu kop. 10.
Z przesyłką pocztową: kwartalnie . rs. 1.25
półrocznie . „ 2.50
rocznie . . „ 5.—
Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna 26. — Telefon 106.

ZA GRANICĄ: We Lwowie i Krakowie Kwartalnie flor. 1.80, Na prowincyi flor. 2.20. w Poznaniu kwartał. mr. 3, na prowincyi 3.75.
W innych państwach związku pocztowego kwartalnie rs. 1 kop. 60 lub walutą zagraniczną podług kursu.
Agencye główne na Galicyę: we Lwowie Agencya dzienników i inseratów St. Sokołowskiego Pasaż Hausmana l. 9; w Krakowie księgarnia S. A. Krzyżanowskiego. Agencya główna na Niemcy: Księgarnia Polska Wiktora Templowicza w Poznaniu Hotel Francuzki. Zmiana adresu kop. 15.

CENA OGŁOSZEŃ: Za wiersz petitu jednoszpaltowy lub jego miejsce kop. 12 „Nadesłane“ wiersz garmontu kop. 50. Ogłoszenia przyjmuje Administracya pisma i wszystkie biura ogłoszeń warszawskie i znaczniejsze zagranicą.

Rękopisów mniejszych Redakcya autorom nie zwraca.

Wiktor Gomulicki.

WYZWOLONA.

Karta z życia.

(Dalszy ciąg).

Gniewało ją, iż rozwiązania zupełnie pewnego znaleźć nie może, i oświadczyła raz w zapale polemicznym, że odmawia medycynie prawa zaliczania się do nauk pozytywnych i wogóle ścisłych.

Zniechęciło ją to do studyów medycznych, w których zaczynała już smakować. Jedna tylko matematyka wydała się jej teraz godną umysłów poważnych, gdyż w jednej tylko matematyce nie było miejsca na fantazye i na omyłki. Prawdopodobieństwo nazywało się w niej wyraźnie: prawdopodobieństwem; co zaś zasłużyło u niej na miano prawdy, było już prawdą niewzruszoną, od czasu, miejsca i okoliczności zewnętrznych niezależną.

Mówiąc o matematyce, nazywała ją zawsze nauką „boską;“ powtarzała też często za Euklidesem, że Bóg w niebie zabawia się — geometryą.

Ale w liczbie jej francuzkich kolegów znalazł się jeden, który zachwiał cokolwiek tę jej wiarę i tę jej pewność siebie. Był to — co wśród francuzów często się zdarza — filozof podszyty feljetonistą, wesoły sceptyk, zakochany w paradoksach, gotowy zawsze dla chwilowego olśnienia słuchaczów, poświęcić najpoważniejszą i najbardziej pocieszającą prawdę.

Przestudyował on Wrońskiego i jego memoryały, przedstawiane Akademii Umiejętności w tym jedynie celu, aby poznać ich stronę ciemną, fantastyczną i do zdawkowych szyderstw nadającą się, i aby ukuć z tego materyału broń przeciw niewzruszalności pewników matematycznych.

Ulubionym jego tematem, który w tysiącznych kombinacyach rozsnuwał, było sofistyczne dowodzenie, że dwa a dwa nie jest cztery.

— Taka suma i taki iloczyn — dowodził z powagą—wypadać mogą dla nas, mieszkańców planety, posiadającej odrębne, to jest swoje własne warunki kosmogoniczne; nie można wszakże tego wyniku podawać za prawdę bezwzględną, cały wszechświat obowiązującą...

Wanda na dowodzenia jego odpowiadała najpierw śmiechem, potem rozdrażnieniem—argumety wszakże zręcznego paradoksisty nie pozostały bez wpływu na jej umysł.

Najbardziej wszakże rozdrażniał ją Wroński. Z tym nie wiedziała po prostu co czynić. Obwołać słynnego ziomka waryatem, jak to robiły niemal wszystkie lekkoduchy francuzkie, byłoby najłatwiej — na to jednak nie pozwalały jej wykształcenie oraz szacunek dla wiedzy prawdziwej. Jednocześnie, cała hipotetyczna, ideowa strona jego nauki przedstawiała się jej pod postacią stromej, cierniami najeżonej góry, o wstąpieniu na którą nawet myśleć nie mogła...

Milczała, gdy przy niej Wrońskiego pod niebiosa wynoszono; milczała, gdy z niego szydzono bez miłosierdzia. W samotności próbowała dobrać klucza do jego matematycznych zagadek—nigdy się to jej wszakże nie udawało.

Raz, po takiem długiem, bezowocnem borykaniu się z zawiłościami wyższej matematyki, gdy znużona i zdenerwowana oparła się o poręcz krzesła i przymknąwszy oczy, usiłowała skupić rozlatujące się myśli, szepnęło jej coś do ucha:

— Jestże matematyka naprawdę nauką ścisłą i pozytywną?

Drgnęła i obejrzała się z przerażeniem za siebie, jakby upatrując kuszącego ją szatana. Przysiądz byłaby gotowa, że to cudzy głos nagabywał ją tem zapytaniem, które w przekonaniu jej było niewątpliwie szatańskie...

Ale te chwile niepewności i zwątpienia rzadko się zdarzały. Dopóki ich nie znała, była jak najmocniej przekonana, że jej „boska“ nauka jest tak jasna, tak doskonale sformułowana i tak harmonijnie w sobie zamknięta, jak tabliczka Pitagoresa. Teraz wiedziała już, że na pewnym punkcie nauka ta, zajęta z pozoru wyłącznie faktami pozytywnymi, spotyka się z filozofią, z poezyą — z marzycielstwem nawet, i że żywioł fantastyczny nie jest jej bynajmniej obcy i nienawistny.

Świadomość tych prawd nabawiła ją bólu głowy—z powodów zresztą najzupełniej praktycznych. Myślała z niepokojem, że czeka ją praca dodatkowa, wdrapywanie się na wyżyny, które jej niczem zgoła nie nęciły. Tam, gdzie widziała już kres trudów i tak pożądaną za nie nagrodę, odsłaniał się przed nią nagle świat nowy, nieskończenie wielki, w którym czuła się obcą i do działania niezdolną. W tych sferach wysokich potrzebne były skrzydła, ona zaś do samokrytyki nawykła, wiedziała dobrze, iż należy do rodzaju—„bezlotków.“

Przestraszyła się tej zawady nieprzewidzianej. Jakto? czyżby naprawdę świat faktów pozytywnych nie był światem zamkniętym w sobie? i czyżby dokładne poznanie tego świata nie wystarczało do zdobycia sławy i zrobienia wielkiej, naukowej „karyery?“

O tę karyerę chodziło jej przedewszystkiem—chodziło może nawet wyłącznie...

Kobieca przenikliwość wskazała jej, dokąd ma się zwrócić po rozwiązanie wątpliwości. Jednym z profesorów, należących do grona egzaminacyjnego, był stary rutynista, wróg wszelkiego nowatorstwa, dla którego cyfra

była tylko cyfrą, to jest służyła sama sobie za cel wyłączny i ostateczny.

Ten jegomość, będący zresztą w świecie swoim znakomitością i uginający się pod ciężarem stopni, tytułów i odznaczeń naukowych, odpowiedział na pytanie Wandy wybuchem bardzo wesołego śmiechu.

— Ach tak! — zawołał, klepiąc się po wydatnym brzuszku — Wroński, matematyka spekulatywna, czwarty wymiar et caetera... Znamy to wszystko oddawna. Znamy i cenimy, bo to rzeczy paradne i niezrównane, jako... humorystyka!

Wyśmiawszy się, dodał jeszcze:

— Co zaś do tego, aby miały one kiedykolwiek wtargnąć do akademii, niech *mademoiselle* będzie spokojna. Nastąpićby to mogło wówczas chyba, gdyby akademia przeniosła się do Charenton.

Nazywał Wandę „panną," gdyż tytuł ten dawał wszystkim uczącym się, choćby nawet przychodziły w towarzystwie córek dorosłych.

Wanda uspokoiła się—ale tylko częściowo. Wiedziała już, że i bez skrzydeł dostać się potrafi na upragnioną wyżynę; nie mogła wszakże zaprzeczyć, że skrzydła te istnieją i posiadającym je przynoszą niewątpliwe korzyści.

Podczas choroby i długiego, kilkomiesięcznego okresu wyzdrawiania, wzbroniono Wandzie wszelkiej pracy naukowej. Ponieważ jednak nie mogła zapełniać czasu plotkami, paplaniem bezmyślnem, przeglądaniem się w zwierciadle, przymierzaniem strojów i próbami różnych sposobów czesania się—jak to czyni większość rekonwalescentek — dzieliła przeto cały swój czas pomiędzy muzykę i czytanie.

Grywała sztuki klasyczne, poważne, gdyż takie tylko znajdowały się w jej repertuarze; w czytaniu wszakże mniej była wybredna i wyłączności żadnej nie przestrzegała.

W ciągu tych kilku miesięcy cała biblioteka przesunęła się przez jej ręce i głowę.

Z początku zajmowały ją tylko nauki przyrodzone. Przeczytawszy z tego zakresu wszystko, czego dostarczyć mogły wypożyczalnie oraz prywatne księgozbiorki znajomych, znalazła się w kłopocie: co czytać? i czy wogóle czytać co jeszcze warto?

Przez kilka dni nie miała nic w ręku prócz „Petit Journal'a," jedynego dziennika, który nie przyprawiał jej o spazmatyczne ziewanie. Na dzieła matematyczne, zamknięte w oszklonej szafce, spoglądać mogła tylko zdaleka, jak lis na winogrona.

W tym czasie, z nudów, zawarła nową znajomość. Prawie o ścianę z Cieńskiemi mieszkali niejacy państwo Leroux, ludzie uprzejmi, którzy wyświadczyli Wandzie podczas jej choroby kilka usług sąsiedzkich. Obowiązkiem było podziękować za nie; przyczem zawiązały się z konieczności stosunki zażylsze.

Pani Leroux liczyła o dziesięć lat więcej od Wandy, ale pod niejednym względem była od niej młodsza. Pracowita i praktyczna, jak prawdziwa paryżanka, miała też w sobie spory zasób francuzkiej żywości i francuzkiego, podbijającego serca, wdzięku.

Pomimo usposobień wręcz przeciwnych, przylgnęły do siebie odrazu. Wandzie podobał się umysł sąsiadki otwarty, śmiały i niezmiernie trzeźwy; przypadło też jej do smaku jej domowe *interieur*, czyste, miłe i jak sama gospodyni, niewinnie zalotne.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

SZKOŁY ZAWODOWE

w Zakopanem.

Zakopane posiada dwie szkoły zawodowe—rządową szkołę przemysłu drzewnego—i krajową szkołę koronczarską.

Przez założenie pierwszej dano sposobność ludności miejscowej rozwinięcia wrodzonych a niepospolitych uzdolnień. W kraju lesistym, obfitującym w doskonały budulec, nie dziw, że rozwinął się oddawna domowy przemysł drzewny. Od wieków góral posługując się niewielkim lekkim toporkiem, obrabiał drzewo, budował sobie drewniane chaty, zapełniał je drewnianymi sprzętami, zastawiał stoły, skrzynie, zydle, zawieszał półki i łyżniki, a czyniąc zadość wrodzonej potrzebie piękna, przyozdabiał wszystkie te przedmioty ornamentami własnego pomysłu. Ciupaga, czerpak, półka, pralnik, wszystko to nosiło na sobie ślady jego zręcznej i pracowitej dłoni—przejawy budzącego się i kształcącego powoli poczucia piękna. Zwyczajnym „kozikiem" próbował rzeźbić, a wzorów dostarczała mu przyroda rodzinna. Świerk, szyszka, dzwonek, oset górski, zwany tu dziewięciornią, lilia, złotogłów, szarotka, oto motywy spotykane najczęściej w ornamentyce miejscowej. W przeciwieństwie do ludu Galicyi wschodniej, który w swych tkaninach i wyrobach ceramicznych używa tylko ornamentu linijnego, wieśniak zachodnio-galicyjski, a zwłaszcza góral, wszystkie swoje pomysły artystyczne zapożycza od przyrody, która tu potęgą swoją narzuca się wyobraźni i nad duszą człowieka niepodzielne rozciąga panowanie.

Odrębności budownictwa i ornamentyki tatrzańskiej zwróciły uwagę znawców. Uznano, że jeśli nie jest to jeszcze styl w ścisłem znaczeniu tego wyrazu, to bądź co bądź są to jakby narodziny stylu—i postanowiono kształcić młodzież miejscową w kierunku wskazanym jej przez uzdolnienie odziedziczone może po całym szeregu pokoleń, oddających się z zamiłowaniem temu rodzajowi pracy.

Szkoła w Zakopanem powstała w roku 1875 i była wówczas prywatną tylko szkołą, zostającą pod kierunkiem miejscowego górala, rzeźbiarza Marduły. Później stanął na czele jej czech Franciszek Neuzil, który żywo zajmował się szkołą i uczniami. Wreszcie po kilku latach Towarzystwo Tatrzańskie wzięło pożyteczną instytucyę pod swoją opiekę, wybudowało dla niej dom piętrowy i wystarało się o pomoc rządu. W r. 1883 szkoła przemysłu drzewnego w Zakopanem była już szkołą państwową. Obecnie dyrektorem szkoły jest znany architekt, wsławiony budową lub współpracownictwem w budowie wielu gmachów wiedeńskich, p. Edgar Kowats. Pracuje w niej nadto 17-stu nauczycieli. W roku bieżącym szkoła miała 100 uczniów.

Zadaniem jej jest kształcenie cieśli, stolarzy budowlanych i meblowych, snycerzy ornamentalnych, rzeźbiarzy figuralnych i t. d. Według programu urzędowego, szkoła ma wskazaną pracę w stylach: renesansowym, barokowym, gotyckim, ze szczególnem jednak uwzględnieniem kierunku swojskiego. Na kierunek swojski też najbaczniejszą zwraca uwagę p. Kowats. Z zamiłowaniem prawdziwem wiąże on w coraz nowe kombinacye motywy miejscowej ornamentyki, stara się zastosować je do potrzeb sfer o najbardziej wyrobionym guście artystycznym, poszukuje wzorów dawnych i wprowadza nowe, przyswajane sobie obecnie lub wytwarzane przez lud. W roku przeszłym wydane zostały przez dyrektora szkoły tablice akwarelowe, w których po długich studyach i odtrąceniu wszelkich obcych naleciałości, zebrano wszystko to, co nazwaćby można stylem zakopiańskim.

Pierwsza z tych tablic zawiera niejako abecadło oryginalnego kierunku zakopiańskiego, gwiazdki, serca, oset, złotogłów, żółte róże, bławatki, świerk, szyszkę, dzwonek, szarotkę i t. d. motywy skopiowane ze sprzętów góralskich. Z liter tego alfabetu zestawia w dalszych tablicach całe wyrazy, zastosowywa ornament do drobnych przedmiotów, jak lusterka, ramki, kasetki, talerze i t. p. Dalej stara się zużytkować też same motywy do większych celów, do urządzenia sypialni, jadalni, daje projekty malowania kościołów, budowy ołtarzów i t. d.

Na wystawie urządzonej w przeszłym roku przez szkołę, widziano wszystkie te pomysły urzeczywistnione. Były tam dwa urządzenia pokojów jadalnych, jednej sypialni, było dużo drobnych przedmiotów i wszystkie znalazły chętnych nabywców. Nie były to naturalnie urządzenia naśladujące wiernie chatę góralską. Styl miejscowy zastosowano umiejętnie do potrzeb ludzi intelligentnych, nie zatracając jednak oryginalnych jego cech. Tak wykonane meble mogłyby wyrugować brzydką niestylową tandetę, używaną przez całą sferę średnio zamożnej inteligencyi.

Zwrot publiczności ku tym wyrobom dostarczyłby pracy rzemieślnikom miejscowym i pewną ilość kapitałów zatrzymałby w kraju.

W tym roku szkoła zakopiańska przygotowywa urządzenie całego domu na wystawę paryzką. Dawni uczniowie szkoły pracują gorliwie pod kierunkiem p. Kowatsa. Domek składać się będzie z salonu, jadalni, sypialni kuchni, śpiżarni. Meble wykonane będą w stylu miejscowym. Wykończone już łóżko z baldachimem przedstawia się świetnie. Rzeźby nakładane farbami robią wrażenie rzeczy bardzo oryginalnej. Meble jadalni wykonane będą z drzewa dębowego rzeźbione—wklęsłości rzeźb złocone. Makat jedwabnych do urządzenia salonu dostarczą zakłady hr. Potockiego w Buczacu. Makaty te będą w stylu wschodnio-galicyjskim. Jedną z ozdób salonu będą herby województw składających

Galicyę, haftowane sposobem używanym za Jana III. Jest to haft niezmiernie wypukły, robiący wrażenie rzeźby. Szkoła przemysłowa w Glinianach dostarczy obrazu Matki Boskiej. Nie będzie to malowidło ani haft, lecz tkanina.

Ciekawe doprawdy, jakie wrażenie zrobi na cudzoziemcach ta próbka stylu zakopiańskiego, a jak chce p. Kowàts—stylu polskiego? Może podoba się jako nowość, może uznaną zostanie za coś dzikiego, może wreszcie odważnem tem wystąpieniem na wszechświatową arenę, zdobędzie szkoła rozgłos, a pracownicy liczne zamówienia, czego życzyć należy biednemu górskiemu ludowi.

Z przedmiotów przygotowanych obecnie na sprzedaż, wyróżniliśmy bardzo ładną półkę, najcharakterystyczniejszy ze sprzętów góralskich. Półka ta jest rzeźbiona i ma przegródkę zamykaną na klucz. Do takowej przegródki, jak nas objaśniają, chowa góralka masło przed łakomstwem małżonka. Drzwi tej przegródki stanowi ładna ażurowa kratka. Całość bardzo wdzięczna. Dalej dostrzegamy pięknie rzeźbiony kredens, i stół modrzewiowy z rzeźbionym na środku orłem. Do stołu tego należą cztery krzesła zdobne rzeźbą i wypalaniem.

Dla ciekawych czytelniczek dołączamy cenę. Stół i krzesła kosztują sześćdziesiąt pięć złotych reńskich.

(Dokończenie nastąpi).

WYCHODŹCY W BRAZYLII.

(Dokończenie).

W dalszym ciągu zwracał uwagę p. Pohl na nieuniknioną konieczność, aby społeczności zainteresowane, a tem samem i nasza, oddały kolonizacyę w ręce specyalnej instytucyi, zwłaszcza gdy rząd miejscowy zająć się tą sprawą nie może. Akcya taka, materyalnie nawet biorąc, sowicie się opłaci, nie mówiąc już o względzie najważniejszym — o ułatwieniu zadania wychodźcom i zabezpieczeniu ich przeciw wyzyskowi. Bardzo tanio nabywać można wielkie obszary, o czem przekonywają nas przytaczane przez sprawozdawcę rządowego przykłady. W stanie Santa-Catharina niemieckie Towarzystwo kolonizacyjne zakupiło od rządu 650 hektarów puszczy po cenie 1 do 2 milrejsów za hektar, a dzisiaj jeszcze cena hektara gruntu leśnego a zatem najlepszego, nie przenosi jeszcze 6 milrejsów.

Nie my sami też zabieramy się do takiej akcyi. W Medyolanie powstać ma towarzystwo kolonizacyjne z kapitałem 3 milionów franków. Zresztą nie wyrobiliśmy sobie dotąd złej opinii w sferach rządowych Brazylijskich; lud Galicyjski uchodzi tam owszem za dobry i pracowity, z ochotą zatem wchodzić będą z nami w układy.

Obudziło się już dzisiaj w kraju całym zaciekawienie niepomierne do poznania istotnych warunków bytu, jaki sobie wytwarza kolonizacya nasza w Ameryce Południowej. Nader pouczającą, choć zbyt dla czytelnika treściwą jest wzmianka informacyjna, przesłana „Petersburskiemu Krajowi" przez p. W. Szukiewicza. A najprzód dowiadujemy się z niej, że nazwą „Nowej Polski" ochrzcili Paranę przedewszystkiem Niemcy, i że za dziennikiem ich „Colonial Zeitung" powtarzają ją inni tak wytrwale, że się już dzisiaj ucierać zaczyna ten nowy termin. Niema w tem nic dziwnego w gruncie rzeczy. Stan Parana do niedawnych jeszcze czasów zupełnie prawie bezludny, obecnie liczy głów 255,000, a w tem pierwiastek polski stanowi 100,000 bez mała. Całe to zaludnienie przedstawi nam się w świetle właściwem wtedy dopiero, gdy weźmiemy pod uwagę, że jest ono rozrzuconem na 244,000 milach kwadratowych, to jest na przestrzeniach przenoszących w trójnasób powierzchnię Galicyi. Ta ostatnia cyfra daje nam nadto wyrachowanie wykazujące odrazu, że na milę kwadratową wypada dotąd w Paranie 1 człowiek w przybliżeniu. Rozumie się, że zarówno nasze osady, jak i te, które wytworzyły inne narodowości, mają pewne skupienie, to jest takie przynajmniej, jakiego narazie wymagać może każdy osadnik, ale też w ten sposób terytorya obrócone na kolonizacyę, stanowią zaledwie $^1/_5$ całego obszaru prowincyi.

Co do jakości gruntów objętych w posiadanie, twierdzi na mocy zebranych źródeł p. Szukiewicz, że wypadły one wedle powszechnego prawa, jakiem się przy wyborze ziem kierują wszelkie kolonizacye świata—że grunta te liczą się do najgorszych. Jest to wyrażenie niedosyć objaśniające, pod niem jednakże domyślać się wolno rolnikowi, iż mogą te ziemie nie być właściwie najgorszemi, a tem mniej złemi bezwzględnie biorąc, ale są najlżejsze czyli najsłabsze. Ocena zresztą ziemi jest w tych bezludnych przestrzeniach równie pierwotna, jak całe rozsiedlające się na nich życie społeczne. Doświadczony rolnik nie pokusił się dotąd o glebę najżyźniejszą, z tej racyi, że jej wyrudowanie przedstawia potrzebę zasobów sił ludzkich i zwierzęcych, któremi pionier dzisiejszy jeszcze nie rozporządza. Doświadczenie ludu rolnego Galicyjskiego odrazu kazało im wybrać te obszary pod uprawę tymczasową, które względnie najłatwiej wprowadzić w kulturę. To też ci nawet, co się jęli uprawy bezleśnego stepu, a zatem gleby najniżej w tym kraju cenionej, mają plony żyta tak wysokie, o jakich marzyć nie mogli w okolicach przez siebie opuszczonych. Bez tego żyta, bez czarnego chleba, który ono daje, nie może widać żyć ten kmieć od pradziadów doń nawykły. Niechajże Bóg da, aby mu szedł na pożytek cielesny i duchowy, aby spożywając go, zatęsknił za ziemią żywicielką, która tylu pokoleniom poprzednim zapewniała byt, spokój i szczęście, zanim jego skazała na to tułactwo!

Oprócz tego stepu, który tu, jak wspomnieliśmy już, jest ziemią najmniej pożądaną, są jeszcze obszary leśne i tych, jak w każdym kraju dziewiczym jest większość. I tu rozróżniają krajowcy mnóstwo gatunków i odcieni, a tem samem i wartości. Przestrzenie pokryte gęstym i pięknym drzewostanem, zaliczone tu są do najurodzajniejszych, jako słabsze i niższe wartością uważają te, na których rośnie drzewo cienkie i rzadkie. Wogóle od ziemi żąda pionier o wiele więcej, niż mu ona dawała kiedykolwiek. Nie po to porzucił kraj swój, nie dlatego skazał siebie i swoich na trudy, wysiłki i nędzę, iżby się miał zadawalniać plonami, jakie zapewnia najwyższa choćby kultura wyjałowionego łona Europejskiego lądu. Ale to, co zadawalnia przybysza, to wszystko krajowiec, brazylijczyk nazywa nieużytkiem. I w rzeczy samej, jeśli chodzi o wartość porównawczą, to przestrzenie zajęte pod uprawę w Brazylii przez emigracye europejskie leżą dotąd w klimacie może nie najmniej sprzyjającym, ale za to w pasie najniższej wartości. Grunta najbogatsze, zwłaszcza przydatne pod plantacye kawy, są do tej pory nietknięte.

Konfiguracya ziemi w Paranie przedstawia płaskowzgórza wielkiej rozległości i wysokiego wzniesienia ponad poziom morza. Ztąd i klimat krainy, tak blizko równika położonej, odznacza się zdrowotnością całkowicie wyjątkową. Okolice naprzykład przenasze wychodźtwo zajęte, położone są mniej więcej na 1,000 metrów ponad poziomem morskim, to jest na wysokości średniej Tatr.

Przejdźmy teraz do innej sfery stosunków wychodźtwa brazylijskiego. Powiedziawszy to, co się powiedzieć dało o bycie materyalnym tych mass wędrownych, potrącić nam wypadnie o sprawy najważniejsze, o te mianowicie, które dać mogą miarę o ile godne są one zatrzymać cechy plemienne, albo wyzbyć się ich na każdym złomie ziemi, zapewniającym byt, na podobieństwo niemieckiego nomady. Wyznajemy, że pod tym względem dochodzą nas wiadomości, możliwie na początek pomyślne, a nawet zupełnie zadawalniające. I tu posłużyć się musimy materyałem, poczerpniętym z „Kraju," a w szczególności świadectwem ks. Franciszka Lutrzykowskiego, superiora głównego Domu księży Zmartwychwstańców w Rzymie, który temu pismu wiadomości swoje komunikuje. Oto ich treść:

„W roku bieżącym, pisze ks. Lutrzykowski, zebrał się w Rzymie Sobór biskupów Amerykańskich w liczbie 50. Są to wszystko zwierzchnicy dyecezyj, używających dyalektów mowy latyńskiej. Pomiędzy tymi biskupami zasiada ks. Józef Barros biskup Kurytyby, który z racyi, że go losy postawiły pasterzem nad naszemi rzeszami wychodźczemi, uważa się, mimo pochodzenia portugalskiego, za polskiego biskupa. Duchowny ten, zaraz po rozpatrzeniu się w właściwościach ustroju moralnego naszych tułaczy, odwołał się do Rzymu o wysłanie niezwłocznie missyj polskich do tego stanu. Chwali on niezmiernie ludność naszą; mówi o jej łagodności, dobroci, skromności, a szczególniej o miłości jej i przywiązaniu do kościoła katolickiego. „Pobudowali oni — powiada — wszędzie kościoły, zaopatrzyli je w aparaty, sprzęty i naczynia, ale nie mając księży modlą się w tych kościołach sami, bez ofiary świętej. Pomimo, że nie cofają się przed żadnemi poświęceniami, aby mieć kapłanów swego wyznania, ci ostatni, jako wędrowne ptaki po większej części, osiadają między nimi tylko na chwilę, żeby odlecieć dalej między ludności miej-

skie — do ruchliwszego życia amerykańskich wychodźców." Dlatego chcąc utrwalić hierarchię kościoła polskiego w tym kraju, wzywa pomocy zgromadzeń zakonnych, a w szczególności członków zgromadzenia OO. Zmartwychwstańców.

Propozycyę tę podjął znany u nas powszechnie w kraju O. Paweł Smolikowski, i pod przewodnictwem ks. Lutrzykowskiego wyprawił do Kurytyby pierwszą misyę Polską, złożoną z dwóch kapłanów, jednego braciszka zakonnego i trzech sióstr Zmartwychwstanek, wyjeżdżających z ramienia matki Celiny Borzęckiej, przełożonej zgromadzenia niewieściego tej reguły.

Życzeniem biskupa Barrosa jest, aby jak najrychlej po przybyciu pierwszej missyi utworzono dwa nowicyaty: jeden dla braci, drugi dla sióstr zakonnych, i aby natychmiast zaciągnąć do służby Bożej ludność rdzennie polską, a to w widokach kształcenia kapłanów polskich z pośród mass wychodźtwa.

Jako dowód wyjątkowego przechowania poczucia religijnego w naszych massach emigracyjnych, przytacza ks. Lutrzykowski ustęp z listu jednego z wychodźców, osiadłego w kolonii „Jaguary" stanie Rio Grande de Sul. List ten pisany był do „Gazety Polskiej," wychodzącej w Brazylii. Oto kilka słów wielce charakterystycznych, smutnych ale i pocieszających zarazem w pewnym względzie:

„Jesteśmy tu w obcych krainach, i w tych pustyniach porozrzucanych wśród lasów tułamy się jak żebraki, pomiędzy obcemi narodowościami. Księdza polskiego nie mamy. Kolonia nasza „Jaguary" istnieje już lat 9, a nie słyszeliśmy jeszcze słowa polskiego z ambony. Dziatwa nasza chowa się jak indyanie. Dzięki Bogu, że są między nami jeszcze tacy, którzy umieją czytać i pisać, gdyż ci przekładają drugim i czytają im różne pisma i książki. Smutno opisać nasze położenie. Czytamy w „Gazecie," że na tej lub owej kolonii polacy mają swych księży i nauczycieli, a myśmy ich nawet nie widzieli dotychczas. A przecież w „Jaguary" było nas przeszło 3,000, i z liczby tej pozostało zaledwie sto rodzin. Reszta rozproszyła się po innych koloniach i po miastach, ponieważ nie mogliśmy znikąd polskiego księdza sprowadzić. W sprawie tej pisalismy nawet do Lwowa do biskupa. Skoro okazało się, że wszystkie nasze zabiegi i starania pozostały bez skutku, wielu kolonistów się rozjechało, osiedlając się przeważnie w Guarany, po sprzedaniu obcym swojej ziemi. Obce narodowości zbogacają się tylko przez naszych rodaków i jeszcze się wyśmiewają z nas."

R.

Z nauki czystej i stosowanej.

(Dokończenie).

Ażeby jednak szanowne czytelniczki nie posądziły nas, iż chcemy je zbywać ploteczkami, podzielimy się z niemi świeżymi rezultatami badań nad falami elektrycznemi i nad ich zastosowaniem w praktyce.

Fale elektryczne, tak samo jak fale cieplikowe i świetlne są drganiami eteru, hypotetycznej i nieważkiej materyi zapełniającej przestrzeń. Nowoczesna nauka przyjmuje bowiem, że wszystkie znane nam siły, albo lepiej postacie energii mają wspólną naturę, to znaczy, że wszystkie są ruchem. Tylko owe fale posiadają niejednakową długość, a ztąd i różne własności.

Kto lubi porównania, ułatwiające zrozumienie rzeczy, ten niech się przypatrzy falom, powstającym na spokojnej wodzie po wrzuceniu do niej kamienia.

Takie fale podlegają tym samym prawom, co i fale eteru; rozchodzą się z pewną szybkością, załamują, mają pewną określoną długość (długością zowiemy odległość pomiędzy dwoma sąsiednimi grzbietami fali) i t. d.

Podług długości, fale eteru idą w następującym porządku: najdłuższe są fale elektryczne i elektro-magnetyczne, bo miewają od kilku metrów do kilku milimetrów, potem idą fale cieplikowe, objawiające się jako ciepło—ultra czerwone, środkujące pomiędzy ciepłem a światłem—świetlne właściwe, dostrzegalne przez zmysły wzroku—ultra fioletowe niewidzialne; na samym końcu umieszczono promienie Röntgena.

Mamy tu całą skalę, począwszy od metrów a kończąc na milionowych częściach milimetra.

Fale elektryczne powstają wtedy, jeżeli pomiędzy metalowemi kulami przeskakuje iskra elektryczna; mają one, jak powiedzieliśmy, znaczną długość i znalazły zastosowanie w telegrafie bez drutów systemu Marconi'ego.

Odznaczają się one, podobnie jak promienie X., własnością przenikania ciał nieprzezroczystych dla zwyczajnego światła. P. Gustaw le Bon, oddający się od paru lat badaniom w tym kierunku, zrobił niedawno ciekawe doświadczenia nad przenikliwością fizyczną fal elektrycznych.

Przekonał on nas, że metale, zwłaszcza zaś hermetycznie zamknięte pudła metalowe zupełnie nie przepuszczają owych fal, i że wapno, cement, kamień, są dla nich przezroczyste w stopniu dość znacznym—nie tak dalece jednak, jak przypuszczano. Telegrafować bez drutu nie można więc przez mury, domy, pagórki etc., gdyż stanowią one przeszkodę nieprzezwyciężoną dla fal elektrycznych. Jeżeli przechodzą one przez tym podobne przedmioty, to tylko pozornie; ma tu bowiem miejsce t. zw. uginanie się fal, na zasadzie którego możemy np. słyszeć orkiestrę umieszczoną poza domem, górą lub innym przedmiotem, tamującym rozchodzenie się dźwięku.

Jeżeli skoncentrujemy fale elektryczne, to podług doświadczeń le Bona, nabierają one własności przenikania ciał, będących złymi przewodnikami elektryczności, a więc: żywic, szkła, drzewa i t. d., nie dziurawiąc ich, jak to czynią iskry elektryczne.

Takie wypływy elektryczne działają na klisze fotograficzną i pozwalają w przeciągu 2—3 sekund fotografować przedmioty, zamknięte w nieprzezroczystych pudełkach, naprzykład drewnianych.

Fale elektryczne, cyrkulując w spiralnie zwiniętym drucie, wytwarzają tak silne napięcie elektryczne dokoła, że wszystkie metaliczne przedmioty, znajdujące się w odległości kilku metrów od przyrządu, pokrywają się iskrami elektrycznemi.

Przy pomocy olbrzymich parabolicznych zwierciadeł, możnaby fale elektryczne tak uczynić równoległemi do siebie, jak promienie świetlne; wtedy biegłyby one w przestrzeni, nie rozpraszając się na wszystkie strony. Jeżelibyśmy skierowali taką wiązkę skoncentrowanych fal elektrycznych na przedmiot metalowy, zawierający materyał wybuchowy, to pojawiające się iskry zapaliłyby ten ostatni.

P. le Bon, a także Tesla sądzą, że w ten sposób w przyszłości będziemy w stanie wywoływać wybuch prochu, dynamitu i bawełny strzelniczej na odległość kilkunastu kilometrów. Łatwo pojąć, jakie niebezpieczeństwo groziłoby wtedy nieprzyjacielskim fortecom, mieszczącym prochownie i okrętom wojennym. Wojny stałyby się poprostu niemożliwemi.

Oto, jakie przewroty przygotowują się w ciszy gabinetów fizycznych.

W. U.

ŚCIGANA

sztuka w 4-ch aktach

przez

Tadeusza Jaroszyńskiego

Nie ujdziesz przeznaczeniu!..

Jeśli mianowicie poza tobą sromota pochodzenia, a nie odrzucą cię losy dobroczynne odrazu zdala od żywych dowodów, albo co gorzej, od sprawców tej sromoty twojej. Jeśli nadto sam, już przy swiadomości zupełnej, nie zdołałeś albo nie chciałeś z jakichbądź pobudek rozkuć tych więzów galerniczych, przykuwających cię do niesławy — daremnie walczyć będziesz z ciążącem nad tobą przekleństwem hańbiącej przeszłości. Dzisiejszy ustrój społeczny, obyczaje nasze, zgrzytliwe rozdźwięki między szczytnością głoszonych haseł, a życiem—między rzekomą niezawisłością jednostki, a jej faktyczną zależnością od wielu sił przemożnych—między pozornie chrześcijańską tolerancyą jednych, a mściwą bezmyślnością reszty społeczeństwa — wszystko to, wszystko razem rzucać cię będzie na pastwę każdemu z takich albo podobnych wpływów, i ostatecznie nie w ten,

to w inny sposób ulegniesz, bo uledz musisz.

„Sic fata voluere“ mówiła starożytność. Potępiliśmy w zasadzie, a raczej w słowie tę mściwą Nemezis — nie zrobiliśmy, właściwie mówiąc wiele, aby ją obezwładnić.

Ofiarą takich stosunków w pierwszym rzędzie stać się musi oczywiście w naszym ustroju kobieta. Wyszedłszy z mętów i bagnisk hańby, w miarę jak doskonali wewnętrzną wartość swoją, rozwijać musi uczucie, bo bez tego czynnika niema dla niej udoskonalenia, a to uczucie właśnie samo nosi w sobie zarodki jej przyszłej nieuniknionej zagłady. Powiedz-że kobiecie podniosłego umysłu i szlachetnego serca, żeby się odwróciła od matki swojej — bez względu na to kim jest ta matka. Nie zrobi tego, a jeśliby wykonała taki akt heroiczny, to znowu gotowiśmy ją wszyscy, a może w danej chwili gotowaby ona sama siebie, postawić pod zarzutem oschłości serca, niewdzięczności, pogwałcenia dodatniej natury wrodzonego popędu i t. d, i t. d. I oto są właśnie zawiłości tworzące błędne koło, z którego dwa tylko często prowadzą wyjścia: do hańby, albo do śmierci.

Z takiego niewątpliwie założenia wyjść musiał p. Zygmunt Jaroszyński w czteroaktowej sztuce swojej, którą my wolimy w tem miejscu nazwać dramatem odrazu, przyznając tym sposobem dziełu ważność, której zdawała się chcieć mu skąpić skromność autora. Zapoznajmyż się przedewszystkiem z treścią utworu.

Panna Wanda Zalaska—nauczycielka prywatna w chwili gdy ją poznajemy, jest córką panny Katarzyny Zalaskiej, niegdyś właścicielki kawiarenki jakiejś w Warszawie. Ojciec artysta i człowiek światły łożył na wychowanie dziecka, i sam się przykładał do jego umysłowego rozwoju, ale aby utrzymać je zdala od wpływów domowego otoczenia, umieścił na pensyi. Dziecko rozwijało się pomyślnie, było dobrem, szlachetnem, a przytem, jak tego wymaga konieczność przyszłych scenicznych powikłań — pięknem niepospolicie. Niebawem jednak ojciec dyskretnie na pensyi zwany wujaszkiem, przy akompaniamencie leciutkiego szyderstwa, właściwego domyślności pensyonarek — niebawem ojciec ten umiera, a Wanda, niezabezpieczona zostaje na łasce owej matki i opiekunki. Ta ostatnia jednak ma tyle serca i sumienia, że nie odrywa dziecka od nauki—owszem pozostawia je na pensyi, rujnując się przytem na to wychowanie przechodzące właściwie jej zasoby i środki. Zarodek powikłań tkwi właściwie w nawiązaniu serdecznego stosunku między matką a córką. Wanda Zalaska wychodzi wreszcie z pensyi, ale nie może znieść myśli, aby matka prowadziła dalej swój zniesławiający proceder. Jest odważna, dzielna, posiada swoje atestaty nauczycielskie, ona tę matkę weźmie do siebie, zapewni jej byt, pozwoli zapomnieć o przeszłości — jednem słowem jest to jedna z nieskończonej liczby sielanek, snutych przez dusze czyste w epoce ich życiowego nieuświadomienia.

Nauczycielski chleb bogaty jednak nie bywa. Ex-kawiarka zastawia się i sprzedaje póki jest co zastawić i sprzedawać, ale lekcyi skąpo nadzwyczaj, a nędza staje w progu domowym.

Tu rozpoczyna się kara Wandy za pragnienie uczciwego życia, a brak siły potrzebnej do spalenia poza sobą mostów. Matka zaczyna poddawać jej myśli, które odważna dziewczyna odtrąca z oburzeniem, a na domiar złego podszepty te nie są bynajmniej jednorazowe, bo i ludzie i okoliczności składają się na to, aby się one ponawiały ciągle, a nędza tej matce naiwnej w zepsuciu i poniżeniu swojem, przypomina ciągle o nich, jako o ratunku jedynym. Ma też ta kobieta cały bogaty zasób dawnych stosunków i znajomości, między którymi Wydzierski ex-posiadacz ziemski, postać bardzo ujemnemi barwami naznaczona w sztuce, a nawiasem mówiąc po mistrzowsku oddana w Bagateli przez p. Winklera, odgrywa rolę złego ducha tego biednego kobiecego przeznaczenia. Wydzierski jest potworny a prawdziwy. Dopomaga on baronowi Krabe, zbogaconemu semicie, do usidlenia dziewczęcia, wciska się do typowego filisterskiego domku pp. Frąckich, gdzie Wanda jest nauczycielką, i tam wyjawiając tajemnicę jej pochodzenia, staje się przyczyną wydalenia; w końcu natrętnem podtrzymywaniem matki w jej niegodnych zamysłach, zatruwa nieszczęśliwej dziewczynie życie i obezwładnia ją na każdym kroku. Jest tam niby i obrona dla biednej nauczycielki w osobie niejakiego Świdy—jak ona nauczyciela, ale też to podpora dla kobiety walczyć mającej z takiemi przeciwnościami, wcale osobliwa. Świda to człowiek zacny i czysty, ale mazgaj, niezaradny, bez inicyatywy, bez energii — jeden z takich, na których kobiety nigdy liczyć nie powinny; potrzebnym on był autorowi, aby dopełnić miary ciążących przeznaczeń. Wanda jest mu szczerze przychylna, zgadza się wśród bardzo krytycznych dla niej powikłań, na oddanie mu ręki, ale ten wzdychacz zawodowy ani jednej trudności nie potrafi z przed niej usunąć — potrafi tylko i to dzięki przypadkowi jedynie, znaleźć się pod oknem barona, aby podnieść zwłoki jego ofiary. Rzecz bowiem kończy się tem, że Wanda wciągnięta przez barona z pomocą Wydzierskiego w zasadzkę, nie mogąc się obronić napaści, wybiera śmierć, i z okna rzuca się na bruk uliczny.

Oto mamy w streszczeniu bardzo pobieżnem, takie, jakiem je w danych warunkach chciał mieć autor, życie kobiety usiłującej się wyśliznąć ze szponów ciążącego nad nią przekleństwa pochodzenia. Sama nie była w stanie przemódz warunków bytu, a społeczności dzisiejsze, do takich walczących ręki pomocnej wyciągać nie zwykły. Gdybyśmy pojedyncze postacie dramatu koleją przechodzić chcieli, zabrałoby nam to zbyt wiele czasu, musimy zatem poprzestać na wrażeniu ogólnem, wywołanem na pierwszem przedstawieniu. Wrażenie to było bardzo dodatniem, a nawet aby być wiernym w sprawozdaniu, przyznać wypada, że było dla autora wysoce pochlebnem. Matka i córka są dobre — bardzo dobre, ich stosunek do siebie tchnie bolesną życiową prawdą, a pospolitość instynktów istoty upadłej, której nawet macierzyństwo podnieść nie zdołało, o tyle smutna, o ile rzeczywista. Ta kobieta kocha nawet dziecko swoje, ale po swojemu, bo inaczej kochać nie umie i nie może. Gdyby ją był autor zrobił matką trochę doskonalszą, byłby się sprzeniewierzył prawdzie. Ona płacze nad tem, że Wanda jest głodna, więcej ją to boli niż jej głód własny, ale nie żądajcie od niej innego współczucia, bo ona nie pojmuje nawet dlaczego się ta Wanda broni tak upornie przeciw niesławie, bo grozy i obrzydzenia upadku nie odczuwa. Dobrze zaobserwowane, dobrze obmyślane, a co najtrudniejsza dobrze przeprowadzone, choć bynajmniej do zadań łatwych policzyć się nie daje. Epizody i obrazki z dziejów głośnej dosyć u nas w swoim rodzaju donżuanery ulicznej, napisane jak należy, ale może nie oddane na scenie jak wypadało; brak im tego zabarwienia aktualności, która sytuacyę podobną robi dla widza odrazu podwójnie zrozumiałą, bo oczywistą.

Pan baron, jako lowelas należy do wszystkich epok cywilizacyi i do wszystkich galeryj miejskich pasożytów społecznych; należało go koniecznie umiejscowić, aby był sympatycznym wedle zasługi. Realizm scen podwórzowych bardzo jaskrawy, ale mu prawdy także zarówno w pomyśle, jak w wykonaniu odmówić nie sposób, nie mówiąc już o stróżu kamienicznym i jego małżonce, którzy daleko przekraczają granice przeciętności. To samo da się powiedzieć o epizodach tak pełnych komizmu szczerego, jakim tchną sceny wintowe. Charakterystyczna bezmyślność ludzi-automatów wyssanych przez tę rozrywkę, może szczerze zabawić; oby mogła także choć w części jakiejś odwrócić od nas ten sport ogłupiający, na co wszakże, znając rozmiary i rozgałęzienie złego, nie radzimy mcmentalnie nikomu bardzo rachować. Ale wint jest dobry—jest bez zarzutu. Z punktu widzenia technicznego najdodatniej podznaczyć wypada raz jeszcze postać szpetną Wydzierskiego. Że ją autor obmyślił trafnie, jest niezaprzeczonem, ale też i odtworzoną jest w Bagateli jak nie można udatniej. Pan Winkler wycieniował tę potworność moralną aż do mistrzowstwa; z tego Pandara-deklamatora zrobił postać, która nie rychło chyba zejdzie ze sceny.

Słabszych stron sztuki, bo któraż wolną jest od nich, poruszać tutaj nie zamierzamy. Spostrzegł je niewątpliwie autor sam, a że ich w przyszłych pracach swoich ustrzedz się potrafi, rękojmią dla nas jest ta jego pierwsza próba sama, po której każda zapowiedź nowej pracy dla sceny, opatrzona jego nazwiskiem, niewątpliwie budzić będzie zainteresowanie we wszystkich, którym rozwój naszego działu literatury dramatycznej obojętnym nie jest. Pierwsza próba, a głównie samo jej przyjęcie przez publiczność powinno chyba było zadowolnić p. Jaroszyńskiego. Punktem kulminacyjnym powodzenia był akt III-ci, którego subtelna psychologia bardzo seryo usposobiła dla autora sfery kompetentne.

Jeszcze jedno słowo, à propos „Ściganej,“ słowo dotyczące nietyle osnowy i treści, ile wykonania samego. Że sztuka przedstawiona była ogólnie biorąc, dobrze i starannie, nie podlega wątpliwości, ale gdybyśmy rozdzielili części składowe utworu wedle ich nastroju, przedstawiłaby się nam w całej oczywistości ta prawda niezbita, że żywioł komi-

czny i część realistyczna życia o wiele dodatniej wychodzą w odtworzeniu, aniżeli to wszystko, w czem się ma uwydatnić podniosłość ducha, rzewność albo prawdziwe napięcie tragiczne. Wyspecyalizowaliśmy u siebie tamte kierunki z pominięciem ostatnio wzmiankowanych. Bądź co bądź, wyglądamy przy każdej okazyi na takich ludzi, przez których życie przeszła pożoga operetki, i którzy choć mają wolę, a jak się zdaje i na siłach odpowiednich im nie zbywa, od tej mary uwolnić się nie mogą.

A. S.

PREMIÓWKA.

Epizod z naszych czasów.

PRZEZ

A. K. S.

(Dalszy ciąg).

— Jakie nazwisko?—pytał z wyraźną niechęcią i zarazem z rumieńcem na twarzy Stanisław.

— No, jużciż jego nazwisko—nie nasze, bo o to bym nie zapytywał.

— Ach tak! — mówił teraz z żalem i goryczą obrońca—o nazwisko chodzi najbardziej—ja to wiem dobrze. My nie pytamy, co nam przynosi człowiek, ale zkąd przyszedł i jaka go sfera społeczna wydała. Jak on niema być tak usposobionym, jak jest?...

— Przykro mi, jeślim mimowoli potrącił jakąś drażliwość jego, a przeto i twoją; gdybyś mię znał lepiej — tłómaczył się p. Joachim—nie upatrywałbyś w tem złośliwej intencyi z mojej strony. W każdym razie winszuję ci z serca twoich uczuć, i przyznaję chętnie, że umiesz być przyjacielem, ale zarazem pozwól sobie złożyć życzenie, aby ci los oszczędzał zawodów na ludziach, bo bardzo są dotkliwe takie przejścia. Daj ci Boże, abyś tak był bronionym, jak sam bronić umiesz tego, co uważasz za sprawiedliwe.

Ton pojednawczy złagodził drażliwość chwilową, i odtąd też w domu p. Joachima nazwisko tego p. Fichtena nigdy nie było podanem w wątpliwość.

W krótkim czasie zaokrągliło się to gronko młodzieży; przybyły doń trzy indywidua, które obserwatorską manię p. Joachima zadowolnić mogły w zupełności, bo każde z nich przynosiło ze sobą odrębność całkowicie charakterystyczną, każde przychodząc z innej sfery towarzyskiej, służyć mogło za jej typ wielce znamienny a pouczający dla tego, kto potrafił patrzeć i wnioskować.

Pan Joachim umiał jedno i drugie, i dlatego niezwyczajnie zainteresował go młody człowiek, którego mu bratanek w parę dni po przytoczonej powyżej rozmowie przedstawił. Był nim niejaki Jakób Bieluń, zapisany w pierwszym roku na fakultet medyczny student, który dzięki sposobowi, jakim się dostał na uniwersytet, znanym był i młodzieży wszystkich wydziałów, i całemu nawet profesorskiemu składowi. Bieluń, jak to wreszcie z nazwiska odrazu domyśli się każdy, pochodził z rodziny chłopskiej i miał ojcem żyjącego dotąd na dwudziestu morgach gospodarza, w jednym z północnych powiatów kraju. Przy zdolnościach, jakie się w nim obudziły już w siódmym roku życia, bardzo prędko załatwił się ze szkołą elementarną, potem dzięki protekcyi i pomocom pieniężnym ludzi dobrej woli, dostał się do seminaryum nauczycielskiego, a tam już zepchnąć się nie pozwolił z drogi, mimo poważnych przeszkód, jakie na drodze spotykał.

Dziwną bo w istocie miał ten dzieciak siłę woli; szedł jak lunatyk ku przeznaczeniu swemu, omackiem, utykał, potrącał się, zatrzymywano go; on wyrywał się nie oglądając poza siebie, nieświadomy prawie tego, co go otaczało—bez zapału, bez entuzyazmu młodości, bez żadnej chyba wiary w przyszłość, szedł automatycznie, jak idą ci, którym sądzono przekonać, zdobyć, albo popsuć coś na świecie. Co widział u kresu karyery? zapytać ktoś może.

Prawdopodobnie nic nie widział, albo dostrzegał o wiele więcej i dalej, niż prosty, zdrowy rozsądek, którym się odznaczał, przewidywać pozwalał. Za pierwszem przypuszczeniem przemawiało to, że w stosunku do jego życiowego rozmachu, zdobycie po niezmiernych wysiłkach stanowiska nauczyciela wiejskiego, było raczej zawodem gorzkim, aniżeli kompensatą do podjętej pracy odpowiednią—drugą hipotezę popierał pewnik, że tylko fanatycy myśli jakiejś kusić się mogą o jawne i oczywiste niepodobieństwa, a niepodobieństwem wydawało się każdemu, aby to osiągnięte nakoniec w 21 lat wieku powodzenie wyjątkowe, tylko za szczebel do dalszej karyery uważać.

Bądź co bądź stało się tak, że w dwa lata po objęciu posady zażądał w dyrekcyi naukowej uwolnienia, i wyjechał z kilkunastu rublami oszczędności zdawać egzamin z 8-klasowego kursu gimnazyalnego, jako kandydat z edukacyi prywatnej. Jak on do tego doszedł, jakim sposobem i z czyją pomocą przygotował się ten zawzięty samouk—niewiadomo, to tylko nie podlegało wątpliwości, że pomimo obostrzonych rygorów, egzamin ten zadziwił najupartszych niedowiarków, i stanowił w ciągu lat trzydziestu wydarzenie zupełnie wyjątkowe, o którem w swoim czasie wiele w różnych kołach było mowy.

Że taki człowiek zawsze, a w naszej epoce przedewszystkiem, wchodził w życie uniwersyteckie młodzieży szerokiemi podwojami, zaledwie warto nadmieniać.

Jakób Bieluń oglądany był, zaznajamiano się z nim, podawano go sobie, a kółko młodzieży, które go dla siebie pozyskało, a raczej kółko, w którem się on automatycznie zatrzymał, zwracało na siebie uwagę jako wybitne.

Dodajmy do tego powierzchowność niesłychanie sympatyczną, spojrzenie jasne, pogodne, obejście, w którem prostota wybornie zastępowała znajomość form towarzyskich, a zrozumiemy wziętość jego natychmiastową, z której on ani myślał jednakże korzystać gwoli zyskania sobie przewagi czy przewodnictwa. Zdawało się, że nie dba o nią, że mu niepotrzebną jest zupełnie ta wziętość, która zapewne dlatego właśnie, jeśli większą jeszcze, to z pewnością mniejszą nie była.

Pan Joachim z wielką ciekawością oglądał to dziwo, ilekroć zdarzyła się sposobność, a co za sąd wyrobił sobie o człowieku po kilku widzeniach i dłuższych rozmowach, w których Bieluń żywszy udział przyjmował, tego nie wiedział nikt z młodych, bo odludek nie spieszył się z wypowiedzeniem swego przekonania, a zresztą nikt się też go o to nie dopytywał, nie wyłączając bratanka. Ten ostatni mianowicie byłby to za rzeczywistą ujmę dla powagi chwili obecnej i jej ludzi uważał, gdyby o którymkolwiek z wybitniejszych przedstawicieli miał wymieniać zdania z jakimś niepowołanym do tego mamutem.

Ani jednej cechy wspólnej z Bieluniem nie miał w charakterze Wincenty Piątkiewicz, który się w tej grupie młodzieży znalazł dzięki temu jedynie, że był tu wprowadzonym i bardzo odznaczająco poleconym przez Fichtena, a ten jak wiadomo miał wszelkie prawo wprowadzać i polecać. O tem zkąd przychodził Piątkiewicz wiedział ze wszelkimi szczegółami p. Joachim, zarówno jak brat jego, ojciec Stanisława, a mógł był wiedzieć, gdyby chciał i sam Stanisław, ale jemu właśnie podobało się stale ignorować wszelkie względy dotyczące pochodzenia, rodziny, domu—względy, które się tutaj liczyły do tak zwanych starych przeżytków. Przychodził człowiek, opowiadał przed czem się kłania, a czem gardzi, zdawał tym sposobem jedyny odpowiedni egzamin, a jeśli jego credo było wystarczającem, nie obchodziło nikogo co jest poza nim i poza tymi, których nosi nazwisko. A miało to nazwisko swoją skandaliczną w pewnym zakątku kraju historyę, i jak raz złożyło się tak, że obok tego imienia wymienianem było zawsze inne, mianowicie ojca Stanisława, który w swoim czasie, w pewnych okolicznościach, odegrał z ojcem tego Piątkiewicza rolę dziwnie łatwowierną, dobrodusznością nacechowaną — rolę, którą drogo bardzo w następstwie opłacił on sam i jego rodzina. Pan Joachim był pamiętnym zajścia całego, zresztą musiano dużo o tem mówić, skoro przy przedstawieniu p. Joachimowi, czuł się sam młody Piątkiewicz niezwykle nieswoim, a stryj Stanisława mimo dużego panowania nad sobą, nie zdołał ukryć uczucia odrazy czy niechęci, co zresztą nie uszło uwagi zgromadzonej w tym dniu młodzieży. Wrażenie przeszło szybko, nikt wreszcie tutaj o wyświetlaniu go nie myślał, zwłaszcza, że spiritus movens kółeczka wyzywającą postawą dawał do zrozumienia, iż powagą swoją gotów jest kolegę w fałszywem położeniu ratować. Jedynem następstwem było, że pan Joachim pod jakimś pretekstem wcześniej opuścił młode towarzystwo, a przyznać mu wypada, iż zrobił to dopiero wtedy, gdy Piątkiewicz, zapewne w drodze odwetu za ambaras, jakiego doświadczył, z pozycyi obronnej wyraźnie w zaczepną przechodził.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRONIKA.

Dla powracających z zagranicy.

„Kuryer Warszawski“ podaje treść obowiązujących obecnie przepisów paszportowych, które powtarzamy za tem pismem, jako mogące zainteresować znaczną część czytelników naszych pod koniec letniego sezonu:

„Dotychczas, mówi „Kuryer,“ brano jako zasadę przy kontroli pasportów zagranicznych na komorach celnych, że gdy jedna z osób, które wyjechały za wspólnym pasportem, wracała do kraju, pobierać należy (od osób pozostałych) opłatę stemplową w kwocie rs. 15 za każdy przejazd oddzielnie, jak za pasport osobny.

„Obecnie wyjaśniono, iż po dokonaniu rozdziału pasportu w biurze konsularnem z opłaceniem dwóch rubli w złocie od osób powracających oddzielnie, nie należy pobierać opłaty całkowitej w kwocie rs. 15, lecz tylko kop. 50 za zużycie blankietów, którą to kwotę ściągać mają prawo komory celne. Tak więc osoby, które wyjechały z rodziną za jednym wspólnym pasportem, po powrocie nie potrzebują wysyłać osobom pozostałym oddzielnych pasportów powrotnych, ani też składać opłat 15 rublowych, lecz mogą wysyłać swe pasporty do konsulów z załączeniem 2 rubli metalicznych (w asygnatach 3 rs.) z załączeniem kilkunastu kopiejek na porto, przyczem prosić wypada w podaniu o rozdzielenie pasportu, tudzież odesłanie go wprost osobom wskazanym. Dobrze jest załączyć w liście do konsula kopertę adresowaną do osób, dla których pasport jest przeznaczony.

Ze spraw kobiecych.

Na wiarę pism posiadających informacye, powtarzamy wiadomość, iż w ministeryum oświaty jest zamiar zmienienia planu nauk we wszystkich ośmiu klasach gimnazyów żeńskich.

Zgodnie z obowiązującą dzisiaj ustawą lekarską trzyletnia praktyka w aptekach skróconą być może do lat dwóch dla tych uczniów aptekarskich, którzy przed wstąpieniem do aptek ukończyli całkowity gimnazyalny kurs nauk. Obecnie rada lekarska uznała zawłaściwe, aby z ulgi tej skorzystały i kobiety, które ukończywszy całkowity kurs nauk w gimnazyach, zdały przytem egzamin z łaciny.

Pogadanka.

O modach.

Wszelkie kostiumy przygotowane, zajaśniały pod promieniami ognistymi słońca; batysty, etaminy, koroniki, fulary. We Francyi zauważono nad brzegami morza także suknie z materyałów gładkich, całe zaplisowane od góry do dołu w większe lub mniejsze fałdeczki, które często w kształcie wolantu rozsypują się na wysokości 10 do 50 ctm. od dołu; brzeg dolny sukni w takim razie jest dekorowany wstaweczkami koronkowemi lub aplikacyami z aksamitu.

Często dla zmiany suknia złożona jest z prostych brytów plisowanych, pomiędzy którymi dawane są wszywki gipiurowe. Stanik zaplisowany także, przybrany wszywkami koronkowemi i to w ten sposób, iż z przodu na środku stanika dana koronka, która w dalszym ciągu łączy się z wszywką na spódnicy i ciągnie prostą linią od szyi do dołu spódnicy.

Nigdy chyba nie noszono tak dużo fularów, jak tego roku. Materyał to co prawda dziwnie praktyczny, a i zawsze elegancki; kolory przeważają jasne i utrzymują się stale w nikłe lub drobne rzuciki. Dużo napotyka się różowych i bladoniebieskich sukien; widocznie pani moda miała na myśli tego roku jedynie osoby młode. Jako garnitur do takich sukien używają koronek i tak zwanych comètes de velours, rodzaj aplikacyi z aksamitem.

Wszelkie staniki bywają otwarte z przodu albo wykrojone wkoło, mają podłożenie z gipiury, delikatnej koronki z wyszyciem błyszczących pailletek, lub całe inkrustacyami metalowemi przybrane.

Oto tualeta widziana tego roku w Trouville: z fularu na białem tle w pąsowe desenie; spódnica coupée en forme, składała się z trzech części; spódnica górna bardzo obcisła; od kolan szedł wolant złożony z wszywki guipure de Venise, nadszyty od dołu brzegiem fularu. Wolant ten, chcąc w objętości dostosować się do wązkiej górnej części, musiał być lekko nadmarszczony. Staniczek gipiurowy formy bluzkowej, wykrojony był wokoło mocno, miał tak zwane empiècement z muszlinu plisowanego wokoło; plisowanie to zachodziło aż poza ramię. Rękaw obcisły z gipiury. Dla ożywienia całej sukni, wolant od sukni odgraniczała naszyta aksamitka pąsowa; taka sama obciskała figurę w pasie.

Kapelusz czarny ze słomki zdobiły pióra strusie czarne, nad czołem duża gwiazda z gazy koloru ciel, naszyta pailletkami; ten rodzaj ozdoby, gwiazd gazowych, błyszczących pailletkami, spotyka się często w tej chwili: w operze, na obiadach proszonych przybierają niemi panie kapelusze i włosy.

Z pomiędzy najświeższych fantazyi mody, zauważyliśmy pióra białe naśladujące kształtami pióra pawie; zamiast oczek lśniących tęczowemi barwami, były naklejane kamyczki strassowe, które łamiąc się w świetle żyrandoli i kinkietów, tysiące rzucały światełek.

(Dokończenie nastąpi).

Złożono na sanatoryum

dla suchotników:

Bezimiennie z Mińska kop. 50.

Wskazówki i rady.

Omlet z pomidorami.

Zrobić zwykłym sposobem omlet francuzki bez mąki. Gdy już będzie usmażony mieć przygotowane pomidory na omlet z czterech jaj, cztery średnie pomidory, które pokrajane w kawałki po wybraniu pestek udusić przez 15 minut w małej ilości masła, ułożyć wzdłuż na omlecie, zawinąć dwa brzegi do środka nożem, wstawić pod blachę na dwie minuty żeby się zrumieniły i wyrzucić na podłużny półmisek. Taki sam podaje się ze szpinakiem, urządzonym na jarzynę. Wyborną odmianą jest polędwica wieprzowa utarta na tarce i przełożony nią omlet francuzki bez mąki.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

TREŚĆ: Wiktor Gomulicki: Wyzwolona, karta z życia (ciąg dalszy). — Szkoły zawodowe w Zakopanem. — Wychodźcy w Brazylii (dokończenie). — Z nauki czystej i stosowanej. — Tadeusz Jaroszyński: Ścigana, sztuka w 4 aktach. — Premiówka, epizod z naszych czasów (dalszy ciąg). — Kronika. — Wskazówki i rady. — Ogłoszenia — Edmund Chojecki: Alkhadar powieść z życia ojców naszych (dalszy ciąg).

LABORATORYUM Chemiczno-Farmaceutyczne **Apteki M. MALINOWSKIEGO** w Warszawie, Nowy-Świat 35, telefonu 190 94 wyrabia **mydła** lekarskie **przetłuszczone:** Borne, Benzoesowe, Lanolinowe, Lecznicze, Wazelinowe **udelikatniające i chroniące skórę od pękania i łuszczenia się; antyseptyczne** oraz zastosowywane przy różnego rodzaju chorobach skóry przez lekarzy.

SZKOŁA RĘKODZIELNICZA DLA KOBIET
K. Mączyńskiej
Mazowiecka 11, m. 8.
Przyjmuje uczennice przychodnie i pensyonarki na krój, szycie krawieczyzny i bielizny, haft biały, kolorowy, złotem i srebrem. Malowanie, wypalanie, rysunki, pończosznictwo, roboty włóczkowe, stroje, koszykarstwo. Uczennice otrzymują patenty szkolne i świadectwa z cechu krawieckiego. 100

Oryginalna Kathreinera **Kawa Słodowa Kneippa.**



Posiada wszystkie zalety wiera kofeiny. Kawa sło w zupełności kawę ziarni używaną jako doskonała ka, której nie powinno bra Wystrzegać się należy wnictw i żądać kawy nie nych paczkach. kawy ziarnistej, a nie zadowa Kathreinera zastępuje stą, a zarazem może być polepszająca smak domieszkować w żadnym domu. bezwartościowych naśladomielonej w zaplombowa- 81F.

Monachium, Akc. Tow. „Livonia"—Ryga.

SKŁAD MEBLI
Majstrów Stolarskich
A. KLIPPEL i S-ka
ulica Erywańska № 9. 987—25—23

Proszę zwrócić uwagę na markę ochronną.

PAROWA FĄBRYKA
Kawy Palonej



pod firmą
IMPORT KAWY
L. B. Jankiewicz,
Warszawa, Leszno 68. Telefon.

POLECA
KAWY PALONE,
!! Codziennie świeże !!
a szczególnie:

Gospodarską	№ 2	za funt	rb.	0.65
„	№ 1	„ „	rb.	0.75
Mieszanki:				
Karlsbadzką		„ „	rb.	0.85
Wiesbadeńską		„ „	rb.	1.00
Wiedeńską		„ „	rb.	1.10
Wyłącznie na czarne kawy:				
Deserową	№ 2 . . .	za funt	rb.	1.15
„	№ 1 . . .	„ „	rb.	1.20

W oryginalnych opakowaniach od 1/1 — 1/2 — 1/4—1/8 funta opatrzonych banderolą i znakiem ochronnym.

Sprzedaż detaliczna we wszystkich handlach kolonialnych w Warszawie i na prowincyi, oraz Składach Win zagranicznych Caves du Grand Hôtel de l'Europe ulica Czysta; Grand Caves de Bordeaux, Mazowiecka 20 i J. A. Stegmann, Marszałkowska róg Chmielnej. 54

Nowootworzony skład dywanów *ul. Erywańska 14.*
p. fir. K. Kruszyński i L. Miciński
poleca: wybór firanek, obić meblowych chodników i t. p. — Ceny nizkie
Sprzedaż za gotówkę i na raty. 1028-52-36

PIERWSZORZĘDNA SZKOŁA KROJU I SZYCIA
N. TISSERANT
MISTRZYNI CECHOWEJ
ŻÓRAWIA Nr. 9.
Przygotowywa gruntownie na wzór paryzkiej Szkoły **„Moniteur de la mode"** Po ukończeniu nauki i złożeniu egzaminu w Urzędzie Starszych uczennice otrzymują świadectwa cechowe na mistrzynie i podmistrzynie. Przy szkole pensyonat z fortepianem oraz pracownia sukien i okryć. Na czas wakacyi ceny kroju zniżone. 92

W ZAKŁADZIE NAUKOWYM VI-o KLASOWYM ŻEŃSKIM
JADWIGI TACZANOWSKIEJ
(dawniej LEONTYNY VACQUERET)
Marszałkowska N-r 129.
Zapis uczenic przychodnich i pensyonarek rozpocznie się 5 sierpnia.
Przyjmuje się panienki od lat 8. 93

BIURO NAUCZYCIELSKIE!
BRONISŁAWY GOLCZEWSKIEJ
Nowotworzone pierwszorzędne kaucyonowane. ***Rekomenduje*** nauczycieli, nauczycielki bony różnych narodowości. **44 S.-Krzyzka 44.** 963—25—21

RESZTKI batystów, pik, wełn, madapolamu oraz podszewek krawieckich otrzymanych wprost z fabryk, poleca bardzo tanio **W. MORGENSTERN,** *Marszałkowska № 129,* w bramie I-sze piętro. 70

Pracownia Haftów
maszynowych
JÓZEFA DULMANA.
Ś-to Jerska 21, m. 8.
drugi dom od rogu Nalewek.
Specyalnie wykonywa hafty na okryciach i sukniach damskich: jedwabiem, sutaszem, dżetem oraz srebrem i złotem. Fabryka sprowadza cztery razy do roku najświeższe desenie z zagranicy. Przyjmuje też do haftu monogramy na kołdrach i paltotach. Zamówienia z prowincyi wykonywa prędko. 97
Ceny umiarkowane.

MAGAZYN MEBLI
ANTONIEGO STRÓMIŁO
Bracka Nr. 25.
Poleca: Kredensy, Szafy, Stoły, Łóżka, Umywalnie, Bieliźniarki, całkowite urządzenia pokoi Sypialnych i Stołowych, oraz wielki wybór Mebli wyściełanych.
CENY NIZKIE. 020-52-36

Uwaga!!
Maszyny do szycia i wyżymaczki
Wprowadziłem system fabrykacyi amerykański, to jest licząc na ilość robót, obniżyłem ceny dotąd w Warszawie niepraktykowane. Za reperację maszyny do szycia **rs. 1,** a wyżymaczki **kop. 50** prócz części dodatkowych, które są na składzie.
Mechanik, Złota 16 między Zielną i Wielką.
Maszyny i wyżymaczki nowe i używane są do sprzedania w wielkim wyborze. 77

Broszki, Bransolety, Kolczyki Pierścionki, Spinki, Szpilki
t. p. poleca 27
Magazyn i Pracownia Jubilerska
J. LIPOWSKI i S-ka
TRĘBACKA 9.
Wyroby własne gustowne. Ceny fabryczne.

Biuro pomocy prawnej
dla drobnych kupców i rzemieślników
(Adw. Stanisław Pawiński, Władysław Korycki, Józef Ostroróg-Sadowski i Wacław Laskowski) przeniesiono na ulicę **Świętokrzyzka № 5.** 88
Biuro otwarte od 10 rano do 3-ej po połud.



K. M. Schröder
Nowy Świat 24.
Skład fortepianów i pianin.
Wynajem i sprzedaż na raty.
Telefon 1288. **Cenniki gratis i franco**
944—53—50

W Zakładzie Naukowym Żeńskim
z pensyonatem i kl. przygotowawczą
Bronisławy Golańskiej
Warszawa, Krucza 37.
Zapis uczenic odbywa się codziennie. Warunki przystępne. Konwersacya w obcych językach, korepetycye, tańce i lekcye muzyki. Zapewnia się troskliwą opiekę. 95
Egzamina rozpoczną się z dniem **25 sierpnia.**

Łyżki, widelce, noże, **oraz przedmioty platerowane zniszczone i wytarte pokrywa na nowo srebrem i złotem** po cenach możliwie nizkich **TEOFIL PYCZ** 4, Miodowa 4, w Warszawie.

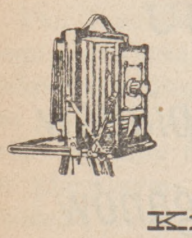
W zakładzie Naukowym 6-klasowym Realnym Męzkim
FLORYANA ŁAGOWSKIEGO 99
w Warszawie, przy ulicy Pięknej Nr. 15.
Zapisy uczniów odbywają się codziennie od godziny 9 rano do 12.
Egzamina wstępne zaczną się 20 Sierpnia.

Dozw. przez Urz. lek. za N. 337 na ogól. zas. handl.



PUDER IRIS
nieszkodliwy,
dostać można w składach aptecznych i perfumeryjnych, prawdziwy tylko w blaszanem opakowaniu z podpisem **H. Lachs.**
Pudełko kop. 15, 30 i 50.
Główny Skład Solna № 9.
947—26—25

MAGAZYN
MEBLI A. JÓZEFOWICZA 98 **Nowy Świat Nr. 28.** Życzącym *na Raty.*



Aparaty „Photo-jumelle," Aparaty „Anschütza," „Self-Worker" i „Verascope," najnowszej konstrukcyi. Najnowsze wywoływacze. Klisze „Atlas," „Fotol" i inne nowości. Poleca:
P. Lebiedziński
Krakowskie-Przedmieście 65. 50

Zakład Stolarski
D. SIARKIEWICZA
w Warszawie,
Grzybowska Nr. 62.
Przyjmuje wszelkie roboty stolarskie, meblowe budowlane, urządzenia sklepowe i t. d.
Wyrób staranny. **Ceny nizkie.** 10

Dozwolone przez Urząd Lekarski na ogólnych zasadach handlu za Nr. 1496, jako środek nie zawierający szkodliwych domieszek.
PIEGI i PLAMY
usuwa
„DERMINA"
Prowizora Wągrowskiego.
Żądać w aptekach, składach aptecznych i perfumeryach. Główna sprzedaż w Warszawie w aptece **H. Huberta, Plac Grzybowski 10.**
Całe pudełko rb. 1 kop. 20,
pół pud. kop. 60. 91

---

35 **KROAZY.** KROAZETKI, GROLINY i wszelkie dodatki do sukien. **TOWARY NORYMBERSKIE.** Przybory do gorsetów i Towary doborowe damskiej konfekcyi. Wybór wielki. Ceny najniższe. Poleca: **Antonina Plichta ul. Ś-to Krzyska Nr 8.**

APTEKA K. WENDY 45. Krakowskie Przedmieście 45. w Warszawie. 45 ***Wody mineralne wszystkich źródeł naturalne i sztuczne.***

Дозволено Цензурою Варшава 28 Іюля 1899 г. Warszawa. Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca Jan Skiwski. DODATEK.

Edmund Chojecki.

ALKHADAR

Ustęp z życia ojców naszych.

(Ciąg dalszy).

Pani ta, popędliwej krwi i namiętnego charakteru, od dostojnego swego małżonka przyjmowała tytuł, bogactwa; więcej nic przyjąć nie mogła—wiek bowiem i przeszłość Księcia Kanclerza wykierowały go na dyplomatę; szaleństwem byłoby żądać po nim wdzięków Adonisa lub Alcydowych grzeczności.

Kanclerzyna z żalem serca musiała za obrębem domowych progów szukać zadość uczynienia niezbędnym warunkom szczęścia.

Poszukiwania te, jak stwierdzili współcześni, uwieńczał częsty, łatwy i pomyślny skutek.

Łaskawe jej spojrzenia i wybór, z kolei padły na Szambelana. Księżna upatrzyła nową ponętę w oderwaniu młodego i urodziwego męża od młodej i pięknej żony; urok zakazanego owocu wzmagał się do drugiej potęgi.

Szambelan zrozumiał zamiary i sam naprzeciw nim pobiegł; udał rażonego nagłym gromem uczucia, drażnił Księżnę z pod oka wejrzeniem pełnem tajemniczego ognia, ale ilekroć przedstawiano mu ułatwienia do wstępnych kroków, wstrzymywał się jak skamieniały, uciekał niby ścigany głosem strasznego jakiegoś wyrzutu.

Zaprzysiężona małżeńska wiara, przywiązanie do żony, pasowały się w nim zapewne z namiętnością której gwałtownych oznak niemiał siły utaić. Zdawało się wrzekomo, że z rozkoszą życie oddałby za Księżnę, że szukał tylko przepaści gdzie mógłby wskoczyć dla ostatniego z jej przywidzeń, cudzy atoli los dla niej poświęcić, wpędzić niewiarą w rozpacz młodą małżonkę nie pozwalało mu zbyt drażliwe sumienie.

Kanclerzyna żałowała, że nie mogła wytłomaczyć prawdy i otwarcie go uspokoić względem usposobienia żony w razie mężowskich zboczeń; Marja, jej zdaniem, miała więcej rozsądku i wychowania, niżeli wydawało się zaślepionemu jej właścicielowi.

Mieszczańska, sentymentalna wierność Szambelana, pomimo widocznych popędów uczucia, roziskrzała w Księżnie zapały i poduszczała żądzę dopięcia swoich celów. Opór ten do jakiego wcale nie była przyzwyczajoną, zadziwiał ją i gniewał, niecierpliwił i smucił, jątrzył i rozżegał, temwięcej, że sam Szambelan coraz straszniej i oczywiściej cierpiał na walkę uczucia z obowiązkiem, coraz goręcej gonił za pierwszem, i rozpaczniej żuł drugiego wędzidło.

Kanclerzyna wielka znawczyni podobnych spraw, umiała cenić wartość zdobyczy porwanej w takowym stanie ducha, podwoiła usiłowania, sama wreszcie zaczynała już tracić głowę i od kilku dni, Księciu Kanclerzowi, w piekło zamieniała zwykły spokój domowego pożycia.

W istocie, Szambelan musiał zręcznie rzecz prowadzić, Sokolnik bowiem, także znawca nielada, z uśmiechem zadowolenia, przypatrywał się ukradkiem obrotom podwójnej gonitwy, i znów ręce zacierał widząc, że córce godnego dał męża, że zięć trafił na godną siebie żonę. Sędziwy magnat ze łzami dziękował Bogu za umajenie mu starości tylu lubemi dla serca pociechami; sprawiedliwy jego żywot ku schyłkowi znajdował zasłużoną nagrodę. Księża niedarmo prawili, że jeżeli Opatrzność złych karze, dobrych natomiast sowicie nagradza.

Kanclerzyna, o prawdzie tego zdania niezupełnie była jeszcze przekonaną, pomimo bowiem modlitw, cierpień i gorliwych zachodów, niemogła dotąd ucieszyć się nagrodą ciężkich swoich trudów.

Szambelan niepomijał żadnej sposobności stawania na jej drodze; ze szczęściem ją witał, żegnał z boleścią, pomimo to wahał się; nie miał odwagi wyjąknąć stanowczego wyrazu. Od pewnego czasu, uciekał od ludzi, z żoną pokazywał się coraz rzadziej, gonił za samotnością, szczególnie zaś lubił zapuszczać się w najmniej uczęszczane ulice Prateru. Tam, zatracony między drzewami, puszczał koniowi wodze, dumał, marzył, przetrawiał gorzkie udręczenia serca.

Księżna, przypadkiem, od niego samego dowiedziała się o tem upodobaniu; świat i jej także zaczynał się przykrzyć, i ona z równąż przyjemnością dosiadała rumaka, i ona potrzebowała pięknej natury, ciszy, odosobnienia.

W kilka dni po tem wyznaniu, Szambelan wyjechawszy jak zwykle na tratowanie swojej tęsknoty, zoczył niespodzianie na krzyżującej się drodze, zieloną zasłonę męskiego kapelusza Księżnej, usłyszał tentent dzielnego jej konia; — niestety, każde uderzenie kopyta padało mu na serce; zazdrościł koniowi lubego ciężaru.

We dwoje, prędzej i łatwiej się marzy, zwłaszcza gdy obie dusze łączy ogniwo jednego uczucia; Księżna wreszcie, chociaż w dalekim przebiegu, rzuciła jednak bystry wzrok na jeźdźca, zoczyła go i poznała; niewypadało niepospieszyć z czołobitnością.

Szambelan spiął zwierzę ostrogami i pogonił zakrętem tak aby oczom swej Pani ukazać się nagle, niespodzianie, niby nieumyślnem zrządzeniem losu.

Koń jeźdźca, z gwałtownego wypuszczenia osadzony dziarsko na miejscu, wspiął się, wyprostował jak świeca. Księżna krzyknęła; żywy rumieniec oblał jej lice. Szambelan pochylony nieco na grzywę rumaka, unižał kapelusz do stóp pięknej amazonki.

— Czekasz pan przebaczenia za przestrach jakiego mię nabawiłeś?—rzekła mu z wdzięcznym uśmiechem; — w istocie, trzeba mieć wiele zaufania w cudze pobłażanie, aby odważać się do podobnych na ludzi napadów.

— Zaufanie moje, odrzekł Szambelan, nigdy niewyrówna miłosierdziu Księżnej. Zdaleka ją spostrzegłem i niechciałem stracić ani chwili; miałyżby pobudki niezłagodzić winy?

— Niema pobudek które usprawiedliwiają narażanie się na nieszczęście.

— Sam ten wyrzut, Księżno, jest dostatecznym do zaofiarowania życia.

— W takim razie bądź pan pewnym że go więcej nie powtórzę.

— Na teraz, jedynem słowem jakże pragnąłbym usłyszeć jest pozwolenie towarzyszenia Księżnie; z pokorą, naprzód poddaję się wszelkim warunkom.

Księżna dotknęła szyi swego konia lekką angielską rózeczką, pocwałowała w milczeniu ku stronom odludnym Prateru; Szambelan, londyńskim obyczajem, podrygując w takt na siodle, kłusował i ważył w myśli korzyści jakich źródło mogło mu otworzyć wzbudzenie namiętnych uczuć w małżonce wszechwładnego ministra.

Roziskrzone zdrowiem jego policzki, szerokie ramiona, postać rozrosła, wyraźnie dowodziły niepospolitych zdolności do dyplomatycznego zawodu.

Księżna, przez jedwabie zielonej zasłony, rzucała mu wesołe spojrzenia, zmęczona wreszcie długą pogonią, zatrzymała rumaka, puściła go stępo, odsłoniła oblicze, poprawiła się na siodle i odgarniając z czoła rozwiane sploty ciemnych włosów, mówiła z wyrazem łagodnej swobody:

— Kilka tygodni przepędzonych w Paryżu, musiało panu zostawić tysiące miłych wspomnień. W tej chwili nawet, jestem przekonaną, żałujesz że te drzewa, drogi i dróżyny, nie należą raczej do Bulońskiego lasku, niż do Prateru. Gdyby nie rządowe sprawy, zapewne nie bylibyśmy oglądali pana tak spiesznie z powrotem. Książę Kanclerz jest człowiekiem bez serca, bez litości. Skarż się pan na niego, obwiniaj, — żona nie myśli i nie potrafi go bronić. Wysyłać ludzi do Paryża, zaprzątać im tam cały czas pracą, i po niepełnych dwóch miesiącach wzywać napowrót do Wiednia'...—to nie do przebaczenia, nieprawdaż?

— Zapewne Księżno; — gdybym w obec mego naczelnika miał prawo pomyśleć o sobie, żaliłbym się na wysłanie mię z Wiednia. Dwa miesiące, zdala od miejsc i osób bez których każda przyjemność musi zmienić się w tęsknotę i w gorycz! Z uległością przyjąłem rozkaz wyjazdu — z rozkoszą odebrałem wezwanie do powrotu.

— Warto być piękną kiedy się jest podobnie kochaną. Hrabina Fürstemberg słusznie może poszczycić się jednym z najprzykładniejszych mężów. Po dwuletniem pożyciu, umieć, obok małżeńskich obowiązków, przechować jeszcze wszystkie zapały kochanka, — w naszych czasach rzadki wypadek, wzór ze wszech miar godzien naśladowania.

— Przez litość Księżno, nie zasługuję na te pochwały! Obowiązki rządziłyby człowiekiem, gdyby rozum tylko nim powodował.

— Tem lepiej skoro nie wyrachowanie ale uczucie pędzi go drogą rozumu; nie potrzeba wówczas sobie rozkazywać, — sama namiętność prowadzi; dość w ślad za nią postępować

— Niemówmy Księżno o namiętności, niemówmy o uczuciu; rozkazują one, na nieszczęście, rozkazują wszechwładnie. Biada czło-

wiekowi, który dostanie się pod ich żelazne berło, ani mu chwili wytchnienia, ani chwili spoczynku. W niezgodzie sam z sobą i z ludźmi, przeklina światło dzienne, pochyla zrozpaczoną głowę, którą... szaleniec!—za wysoko śmiał podnieść.

— Hrabina jest zachwycającem stworzeniem; sąd ten w ustach kobiety, nabiera niezaprzeczonej wartości. Nie mówię tu nic nowego; powtarzam zdanie stolicy, zdanie całego towarzystwa.

— Prawda księżno; ja sam pierwszy oddaję żonie mojej należytą sprawiedliwość. Jest to anioł z postaci i z duszy; długo. zdało się mi, że niema doskonalszej istoty. Dziś jeszcze, może powiedziałbym to samo, gdybym słowo umiał wymówić, gdybym dwie myśli potrafił związać, gdybym czuł co innego prócz boleści, gdybym w sercu miał miejsce na inne uczucie prócz na zwątpienie. Sam siebie nie poznaję; w bezmyślnych nadziejach zanoszę się nieraz od szczęścia; złudzenie przemija błyskawicą i znowu w straszniejszą rozpacz zapadam. Teraz, oto w tej chwili, piersiami szczęścia objąć nie mogę; gdy wrócę do miasta, nie znajdę dość wyrazów na złorzeczenie ocknięciu z czarującego snu.

— Szkoda czasu, panie hrabio; życie ludzkie i bez tego ma w sobie dość goryczy — po co zatruwać je samowolnie, po co dręczyć się i wynajdywać sobie zgryzoty, jak gdyby tych nie starczyło, z jakiemi konieczność stawia nas do walki.

— Księżno! — słowa te mogłyby z mojej strony wywołać odpowiedź, którą, lepiej podobno abym zamilczał.

— Bynajmniej, mówmy szczerze i otwarcie. Wspomniałem o pańskich przyjaciołach; spodziewam się, że mam prawo stanąć w naczelnym ich rzędzie. W twoim wieku i położeniu, panie hrabio, myśl o przyszłości nigdy nie powinna cię opuszczać. Przedewszystkiem jednak, trzeba uzbroić się w swobodę duszy, w zimną rozwagę — inaczej na drodze najłatwiejszej, pierwszy krok stanie się niepodobnym. Powróciłeś pan z Paryża, gdzie zachody twoje pozyskały zadowolenie księcia kanclerza; dołożywszy trochę pracy, zadowolenie to może przynieść znakomite, rzeczywiste korzyści.

— W tem właśnie leży cała trudność. Do wewnętrznych moich niepokojów, do osobistych udręczeń muszę dołączyć jeszcze troski domowego pożycia, troski, których brzemię łatwo ocenisz Pani, gdy dodam, że od pewnego czasu, zdrowie hrabiny zaczyna mnie zatrważać.

— Co słyszę! — hrabina miałażby być cierpiącą? Wczoraj widziałam ją u Kolowrathów i nie mogłam nadziwić się jej świeżości; zdaleka i zblizka cera jej zda się ułożoną z listków róży.

— Zwodnicze pozory księżno; rumieniec nie zawsze jest oznaką zdrowia — gorączka niekiedy wypędza go na oblicze. Hrabina cierpi na piersi; dotąd sama nie domyśla się swego stanu; młodość z natury swej jest nieopatrzną, przed moim atoli doświadczonym wzrokiem prawda ukryć się nie zdoła. Powietrze wiedeńskie, chłodne i wilgotne wieczory, warzą w niej zarody życia. Przekonany jestem, że dwie jeszcze zimy spędzone w naszem mieście, postawią ją nad grobem.

— Przestraszasz mnie pan! — jeżeli w istocie, rzeczy tak daleko zaszły, nie należy chwili jednej marnować; hrabina potrzebuje zmiany klimatu i musi go odmienić. Niema nad czem się zastanawiać; z ostatnimi dniami jesieni, powinna opuścić Wiedeń.

— Zapewne księżno; nikt tego goręcej ode mnie nie pragnie; niepodobieństwo jednak spełnienia zamiaru przedstawia się mi coraz wydatniej. Przeciw konieczności nic nie poradzę.

— Nie rozumiem pana; nie zgaduję na czem zależą te nieprzezwyciężone trudności? Czyliż podróż za granicę nie jest dla nas zwykłym, powszednim wypadkiem?

— Dla mnie księżno — odrzekł szambelan drżącym, wymuzykowanym głosem, wyjazd z Wiednia przenosi moje siły. Żądać ode mnie opuszczenia stolicy, jest to domagać się najcięższej ofiary. Dokonałbym wszelako poświęcenia, spełniłbym ofiarę, zniweczyłbym własny byt, gdybym wiedział, że zaguba samego siebie przydać się może dla drugich. Na nieszczęście, całe odmienne mam przekonanie. Wszelki stanowczy krok z mojej strony, otchłań przede mną może otworzyć; na drogę ocalenia nigdy mnie nie wyprowadzi.

— Mów pan dalej; nie umiem zgadywać tajemnic, do pana wreszcie należy oszczędzić mi przykrego trudu rozwiązywania zagadek, zwłaszcza tych, które równie blizko mnie obchodzą.

— Niewyczerpana dobroć księżnej łatwo oceni moje położenie, gdy je w dwóch słowach opowiem. Hrabina dobrowolnie nie zechce opuścić Wiednia; rozpieściło ją tutejsze towarzystwo — lepiej nigdzie jej być nie może. Na prośby wyrzeczenia się uciech stolicy, odpowie prośbami, którym oprzeć się nie zdołam. Przyzwyczajeni oboje do swobody, do zupełnej niezależności w postępowaniu — jedno drugiemu, w żadnym razie, praw ani własnej woli, nie możemy narzucać. Jakież wreszcie pobudki potrafię wskazać moim żądaniom? Zwykły wyjazd za granicę, dla rozrywki, dla urozmaicenia życia? Hrabina wcale nie nudzi się w Wiedniu; przeciwnie — miasto nasze rajem się jej wydaje. O zdrowiu w żaden sposób wspomnieć niepodobna. Gdybym odkrył przed nią prawdziwy jej stan, zapuściłbym w jej serce gwałtowne niepokoje, wstrząsłbym silnie jej wyobraźnię, sprowadziłbym odrazu straszne skutki, którym następnie zapóźno byłoby chcieć zapobiedz. Półsłowami zaś nic nie uzyskam; żona moja, jak powiedziałem, przekonaną jest, że cierpienia jej są chwilowe, przechodnie, że ustąpią za pierwszem niewinnem lekarstwem.

— Może wypadałoby zwierzyć się rodzicom; matka łatwiej zapewne wysłucha prawdy i korzystniej użyje wpływu swego na córkę?

— Myślałem o tem, księżno, probowałem nawet, ale za pierwszym krokiem spostrzegłem bezskuteczność zachodów. Hrabina ma charakter, do wysokiego stopnia niezależny, cudzym namowom nie daje ucha, dba nadto o zaszczyt domu, którego nosi nazwisko, wie, że wyjazd nasz z Wiednia przerwałby szczęśliwie rozpoczęty mój zawód pod dostojnem przewodnictwem księcia kanclerza, i gdyby nawet przewidywała grożące niebezpieczeństwo, sama siebie chętnie poświęci; od męża nie zapotrzebuje, nie przyjmie ofiary.

— Zachwycająca kobieta! — rzekła księżna, ubodnięta nieco pochwałami, jakie szambelan sypał swej żonie — nie dziwi mnie, że tak jest kochaną — według tego co słyszę, nigdy wdzięki ciała nie odpowiadały tyle zaletom duszy.

— Bezwątpienia księżno — odparł z westchnieniem jej towarzysz — gdyby uczucie było koniecznym wynikiem z podsumowania pewnej ilości zalet i wdzięków. Każdy ma swój sąd, swoje upodobania; doskonałość ludzka niezna granic i często, gdy człowiek mniema, że w pewnym kierunku doświadczył już najwyższych, ostatecznych wrażeń, nagle odsłania się przed nim widok, który w jednej chwili pamięć przeszłości zaciera.

— Biedna hrabina! żal mi jej z całego serca. W jej wieku, sama zmiana powietrza więcej może jej przynieść ulgi niż wszystkie przepisy Malfatego. Należałoby nie radzić jej, nie zmuszać do opuszczenia Wiednia, ale postawić w konieczności wyjazdu.

— Nazewnątrz tej ostatniej ucieczki; księżno, niema innego środka.

— Jest to warunek dopiero ale nie środek, panie hrabio; pierwszy łatwo oznaczyć — w wynalezieniu drugiego leży cała trudność.

— Wynaleść nietrudno — mówił z niechcenia szambelan — wiem sposób nieochybny.

— Jakiż?

— Nie warto o nim wspominać; środek mój jest niezawodnym, ale zarazem niemożebnym do wyjednania.

— Nadużywasz pan mojej cierpliwości, lub może chcesz go zachować przede mną w tajemnicy — w takim razie nie wypada mi nalegać.

— Przez miłość boską, księżno, zarzut ten niesłychanie jest mi bolesnym! Był czas, że gdzieś na dnie serca więziłem jedną tylko tajemnicę; dziś i ta już odkryta, dziś do samego siebie nie należę. Księżna rozkazujesz, chcesz wiedzieć?... dowiesz się natychmiast. Myśl moja o tyle zasługuje na uwagę, o ile potrafi sprowadzić żądany cel, a usunąć zawady, o jakich wspominałem. Sam tylko książę kanclerz swoją wszechmocnością, mógłby od razu, wszystkim warunkom zadośćuczynić. Wakują w tej chwili dwa poselstwa, jedno we Florencyi, drugie w Neapolu.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).